

Przeciwko wielokulturowości

Peter Lamborn Wilson

Stany Zjednoczone zawsze aspirowały do miana tygła narodów. Kanada natomiast określała się jako mozaika, co pozwala wyjaśnić, dlaczego Kanadyjczycy cierpią na coś w rodzaju permanentnego kryzysu tożsamości. Co znaczy być Kanadyjczykiem w odróżnieniu od bycia Québécois, Celtem czy autochtonem? W latach 50. wydawało się, że Stany Zjednoczone są odporne na tego typu bólaczki. Wszystkie kultury miały się bowiem tam wymieszać i nabrać amerykańskiego charakteru, dołączyć do głównego nurtu. W rzeczywistości jednak ten kulturowy „konsensus” nie był niczym innym jak angielską kulturą kolonialną z objawami amnezji i wypłowiałą patyną „przełamywania granic”.

Przykładowo Irlandczycy jeszcze całkiem niedawno byli uważani za dzikich i krnąbrnych. Trudno stwierdzić, czy pewne kultury pozostały na „zewnątrz” z własnego wyboru, czy dlatego, że zostały wykluczone. W latach 60. Murzyni zostali określani jako niesprawiedliwie wykluczona grupa, w związku z czym powzięto kroki mające na celu zintegrowanie ich z kulturą głównego nurtu (na przykład poprzez system szkolnictwa). Rdzenni Amerykanie wciąż pozostają wykluczeni przez prawo, które definiuje ich raczej ze względu na krew niż na kulturę i utrzymuje segregację poprzez system rezerwatów. Jeśli chodzi o Żydów, Latynosów, Azjatów — każda z tych grup wybrała odpowiednio strategię asymilacji lub oporu.

Pod koniec lat 70. i na początku 80. stało się jasne, że idea tygła narodów raczej się nie sprawdziła. Kultura czarnych, będąca swego rodzaju papierkiem lakmusowym, okazała się niemożliwa do wchłonięcia. „Konsens” znalazł się w niebezpieczeństwie. Prawica, ze swoim schizofrenicznym nastawieniem do rasy i kultury, zaczęła się chwiać. Zaproponowano więc nowy, „liberalny” konsensus, zwany **wielokulturowością**.

Wyrażmy się jasno: wielokulturowość to strategia mająca na celu uratowanie „Ameryki” jako idei i jako systemu kontroli społecznej. Każdej z wielu kultur współtworzących naród pozwolono teraz na odrobinę własnej tożsamości, poczęstowano ją symulakrum autonomii. Świetnie oddają tę strategię szkolne podręczniki, gdzie na zretuszowanych fotografiach z lat 50. obok szczęśliwych białych znalazło się też kilku czarnych, Azjatów czy nawet amerykańskich Indian. Uniwersytety pełne są obecnie instytutów zajmujących się kwestią wielokulturowości, a każda omawiana mniejszość musi być traktowana z odpowiednią dozą „szacunku”. Konserwatyści zaczęli bić na alarm: Kanoniczne Doktryny Zachodniej Cywilizacji są w niebezpieczeństwie! Nasze dzieci będą zmuszone do uczenia się historii... czarnych! Ten prawicowy bełkot otoczył wielokulturowość aurą prawomocności i politycznej poprawności oraz sprawił, że lewica przystąpiła do obrony nowego paradygmatu. Zgodnie z teoretycznymi założeniami równowaga zostanie w końcu przywrócona i konsens znowu będzie działał. Problem jednak w tym, że sama teoria nie pochodzi ani od prawicy, ani od lewicy, ani z centrum. Pochodzi z góry. To teoria kontroli.

Stare podręczniki przedstawiały wszelkie etniczne/kulturowe partykularyzmy jako plamę, która zniknie pod wpływem całkowitej podległości Normie. Niemniej jednak sama Norma była po prostu formą hegemonicznego partykularyzmu, w związku z czym podręczniki te były stopniowo wypierane, aż wreszcie całkiem zniknęły. Zgadzam się — musiały zniknąć. Obecnie znajdzie się kilka tekstów, które przyznają, że dokonania Kolumba miały także ciemną stronę i że Afrykańczycy nie są moralnie odpowiedzialni za to, iż stali się

niewolnikami. Zgadzam się, że to krok na przód. Ciągłe jednak chciałbym się dowiedzieć, kto dał nam prawo do wygłaszania tego rodzaju opinii i **dlaczego?**

Po pierwsze, wydaje się oczywiste, że każda z „wielu” partykularnych kultur jest określana albo jako opozycyjna w stosunku do „uniwersalnej” kultury głównego nurtu, albo jako z nią zasymilowana. Jedyna różnica polega na tym, że główny nurt jest obecnie zabarwiony różnorodnością i odczuwa lekko permissywną nostalgię za kolorowymi, etnicznymi obyczajami. Jednakże w samym sercu dyskursu, który nazywa sam siebie wielokulturowym, pozostaje „solidne jądro programowe” stworzone ze starego euroracjonalnego aksjomatu, naukowego tryumfalizmu i teleologii klasy panującej.

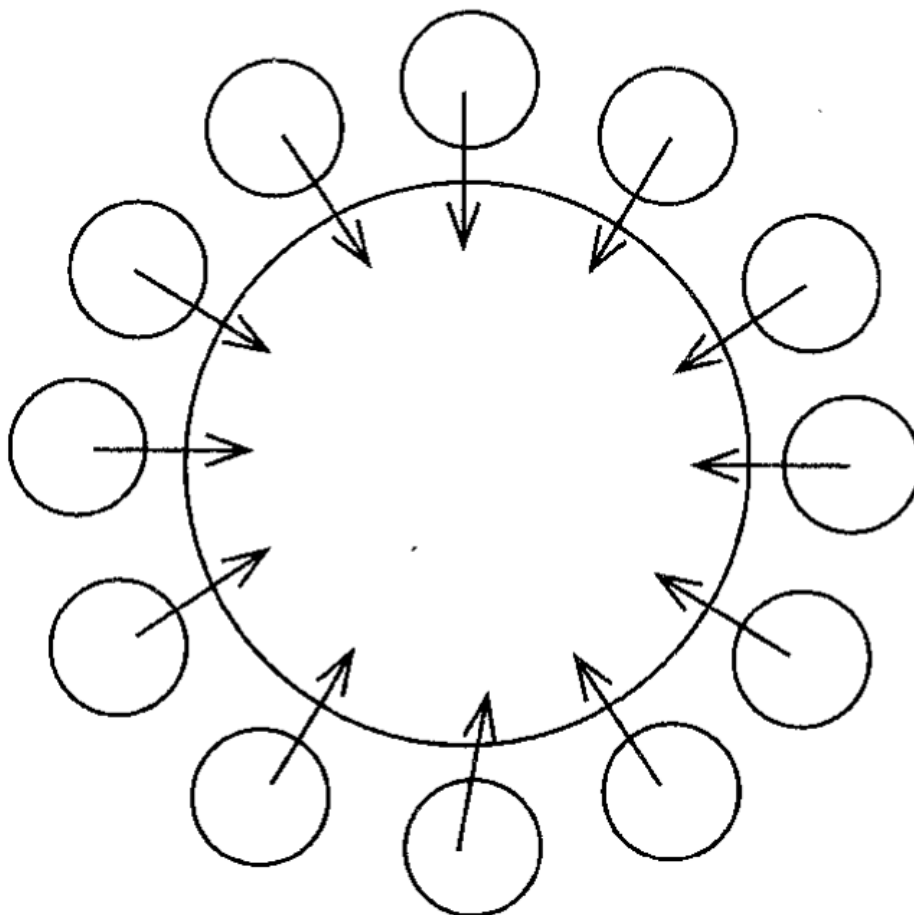
Główny nurt tworzy Cywilizację, natomiast kultyury mogą istnieć wyłącznie na jej peryferiach. Cywilizacja przejmie z wdzięcznością każdy element danej kultury, który okaże się dla niej użyteczny. Każda osobliwa kultura lokalna ma coś do zaoferowania, coś, z czego można być „dumnym”. Muzealna pasja ożywia Centrum; każdy kolekcjonuje etniczne osobliwości; każdy jest turystą; każdy zawłaszcza.

Wielokulturowa konwersacja jako totalny monolog mogłaby brzmieć następująco: „Tak, wasze uroczę rękodzieło będzie świetnie pasowało do mojego salonu, bo ukryje fakt, że został on zaprojektowany przez — a może nawet dla — maszyny. Tak, wasze ceremonialne sauny będą wspaniałym weekendowym «doświadczeniem». Jezu, czyż nie jesteśmy Panami Wszechświata? Po co mamy się użerać z tymi wyblakłymi angloamerykańskimi meblami, jeśli zamiast nich możemy mieć wasze? Powinniście się cieszyć. Poza tym koniec z Imperialnym Kolonializmem: płacimy za to, co bierzemy, a nawet za to, co zepsuliśmy! Płacmy, płacmy, płacmy. W końcu to tylko pieniądze”.

Wielokulturowość zdaje się więc proponować jednocześnie uniwersalność i partykularność, a więc w gruncie rzeczy totalność. Każda totalność pociąga za sobą totalitarność, ale w tym przypadku Całość prezentuje się od dobrej strony, jako wielki park tematyczny, w którym każdy „szczególny przypadek” może być w nieskończoność reprodukowany. Wielokulturowość to „spektakl” komunikatywności — utowarowiona towarzyskość sprzedana z powrotem tym, którzy ją sobie wymarzyli. W tym znaczeniu wielokulturowość jawi się jako konieczne ideologiczne odbicie Globalnego Rynku czy „Nowego Światowego Ładu”, „jednego” świata zbyt-późnego kapitalizmu i „końca Historii”. „Koniec Historii” to oczywiście nic innego jak „koniec Społecznego”. Wielokulturowość stanowi zatem dekorację dla końca Społecznego, metaforyczne *imaginarium* całkowitej atomizacji „konsumenta”. A co konsument będzie konsumował? Obrazy kultury.

Po drugie, wielokulturowość to nie tylko fałszywa totalność czy zjednoczenie, ale również fałszywa separacja. Wciska się „mniejszościom”, że żadne wspólne cele i wartości nie są w stanie ich zjednoczyć, oczywiście oprócz celów i wartości konsensu. Przykładowo Murzyni mają murzyńską kulturę i nikt ich więcej nie zmusza do asymilacji. Dopóki murzyńska kultura milcząco uznaje centralność konsensu i własną peryferyjność, dopóty będzie mogła prosperować, a nawet będzie do tego zachęcana. Jednakże prawdziwa autonomia pozostaje wykluczona, podobnie zresztą jak wszelka „świadomość klasowa”, która mogłaby przebiec w poprzek grup etnicznych czy „stylów życia” i doprowadzić do rewolucyjnych

koalicji. Każda mniejszość coś wnosi do Centrum, ale nic nie ma prawa krążyć po peryferiach, a już na pewno nie siła **zbiorowości**. Diagram wyglądałby zatem następująco:



W przeciwieństwie do kwiatu, który rozchyła swe płatki dla pszczoł lub trzmieli i z którego emanuje życie, „konsens” pochłania wszelką energię i wstrzykuje ją w system sztywnej kontroli, proces podobny do śmierci, który musi doprowadzić do sterylności i **histerezy**.

Biorąc pod uwagę, że żyjemy w epoce totalnie globalnego porządku, a w konsekwencji w fizycznym i kulturowym środowisku przezeń generowanym, wydawałoby się, że partykularność powinna stanowić jakąś formę oporu. Okazuje się jednak, że Totalność przyswoiła już sobie jej energię oporu, proponując fałszywą, pozbawioną wszelkiej twórczej siły formę partykularności — utowarowione symulakrum powstańczego pragnienia. W tym ujęciu wielokulturowość jest tylko *recto* kartki, której *verso* stanowi „czystka etniczna”. Obie strony wieszczą upadek wszelkiej autentycznej i partykularnej kultury oporu. Jednocześnie Konsens potajemnie napędza rasową, a nawet klasową nienawiść. W czasach tajemniczej nieobecności „Imperium Zła”, które niegdyś stanowiło wymówkę dla każdego aktu brutalnej represji czy destrukcji czynionych w imię „obrony Cywilizacji Zachodu”, Konsensus

musi obecnie poszukiwać lub nawet tworzyć „wrogów” we własnym wnętrzu. Kwitnie miłość pomiędzy agencjami wywiadowczymi a brutalnymi nacjonalistami, separatystami czy szowinistami wszelkiej maści. W tego rodzaju kręgach wielokulturowość znaczy po prostu: „Niech się nawzajem rozszarpią, to nam zaoszczędzi kłopotów”. Z tego powodu wszelki akt oporu czy gwałtownej nienawiści tylko wzmacnia potęgę „Państwa Bezpieczeństwa”. Wiadać wyraźnie, że dyskurs władzy zaczyna tracić cierpliwość: „Cholerne mniejszości i ich paplanina. Daliśmy im wielokulturowość, i co? Nadal się buntują. Bandyci!”.

Lewica tak długo wierzyła w „internacjonalizm”, że, jak na razie, nie udało jej się zaproponować jasnej odpowiedzi na „nowy globalizm” zrodzony po 1989 roku. Kiedy zburzono mur berliński — a więc w chwili, gdy otworzyło się okno wolności — natychmiast pojawiła się nowa forma internacjonalizmu, by zająć powstały wyłom. Podczas gdy amerykańscy politycy śpiewali peany na temat tego, że „zimna wojna się skończyła, i to my ją wygraliśmy”, Kapitał ogłosił koniec ideologii. To oznacza, że nie tylko komunizm „umarł”, ale również, że „demokratyczny republikanizm” spełnił swoje zadanie i stał się pustym idolem. Od tego momentu rządzić będzie jedna siła: racjonalność pieniądza. Samoreprezentujący się pieniądz został wyabstrahowany z wszelkiej realnej wartości, stał się całkowicie wirtualny, wreszcie ubóstwiony. Pieniądz porzucił zwykły żywot i poszedł do nieba.

W tej sytuacji zarówno lewica, jak i prawica będą stawiać opór i czasem będzie wręcz trudno wskazać różnicę między nimi. Świadomie lub nieświadomie powstaną tysiące form partykularyzmu mające za zadanie przeciwstawić się fałszywej totalności i żalosnym nagrodom pocieszenia przyznawanym przez wielokulturowy „Nowy Światowy Ład”. Społeczne się oczywiście nie skończyło, podobnie zresztą jak codzienne życie. Obecnie jednak Społeczne jest zabarwione powstańczym potencjałem **różnicy**. Pasja ta, w swej najgłębszej i najbardziej ukrytej formie, po prostu powtarza przestarzałą i pustą retorykę klasycznego nacjonalizmu czy rasizmu, czego skutkiem są „czystki etniczne” od Bośni po Kalifornię.

Temu hegemonicznemu partykularyzmowi możemy przeciwstawić bardziej świadomą i społecznie sprawiedliwą formę **antyhegemonicznego partykularyzmu**. Ciężko jest precyzyjnie określić kształt, jaki przyjmie tego rodzaju siła, jednak staje się to możliwe, w miarę jak zaczyna się ona faktycznie pojawiać. I rzeczywiście: cudowne odrodzenie rdzennych amerykańskich kultur przyćmiewa 500. rocznicę odkrycia Ameryki oraz zaostrza debatę na temat kulturowego zawłaszczania. Zgodnie z tym, co pisze „New York Times”, meksykańskie powstanie Zapatystów — pierwsza „postmodernistyczna rebelia” — stanowi bezprecedensową zbrojną akcję przeciwko Nowemu Globalizmowi. Zrodziła się ona w imię partykularnej, ale antyhegemonicznej sprawy Majów i wieśniaków z Chiapas. Myślę, że chodzi tutaj raczej o „empiryczną wolność”, niż o jakąś „ideologię”. Przyjmując pozytywne nastawienie, można by rzec, że wszelka kulturowa i/lub społeczna forma partykularyzmu zasługuje na wsparcie, dopóki pozostaje antyhegemoniczna, czy wręcz dlatego, że taka właśnie jest.

W tym ujęciu możemy nawet znaleźć pozytywki płynące z wielokulturowości, biorąc pod uwagę, że może się ona stać medium propagującym memy subwersji i powstańcze pragnienie radykalnej różnicy. Niemniej jednak tego rodzaju subwersywne „wejście do mediów” może służyć wyłącznie jednemu, ostatecznemu celowi: bezwarunkowemu zniszczeniu wie-

lokalnego neoimperializmu i jego transformacji w **coś innego**. Jeśli prawdziwym celem wielokulturowości jest zaprowadzenie uniwersalnej separacji pod sztandarem fałszywej totalności, to radykalną odpowiedzią powinien być atak nie tylko na jej ersatz uniwersalności, ale również na jej wrogą alienację i fałszywe oddzielanie. Jeśli wspieramy prawdziwie antyhegemoniczny partykularyzm, to musimy również wspierać drugi element dialektyki poprzez rozwijanie siły zdolnej przeniknąć wszystkie fałszywe granice, przywrócić komunikatywność i serdeczność poprzez horyzontalną i przypadkową sieć połączeń oraz solidarności. Wielokulturowość jest jedynie marnym symulakrem tego rodzaju prawdziwej siły, która stanowi dopełnienie antyhegemonicznego partykularyzmu, tworząc autentyczną wzajemność między ludźmi i kulturami. „Ekonomia Daru” zastąpi ekonomię opartą na wymianie i utowarowieniu. Społeczne odrodzi się na poziomie „doświadczanego życia” dzięki praktyce wyobraźni i szczodrości.

W tym ujęciu rozwiązanie problemu „zawłaszczania” powinno wypłynąć z koncepcji „uniwersalnego potlacz” opartego na dawaniu i dzieleniu się. W ramach testu przyjrzymy się problematyce kulturowego zawłaszczania wartości amerykańskich Indian. Podstawą pierwotnej tożsamości ludów plemiennych z „Nowego” Świata była plemiennosc, a nie rasa. Każdy mógł stać się członkiem plemienia, czego przykładem byli biali rozbitkowie czy zbiegli czarni. xx-wieczne odrodzenie rdzennej kultury ujawniło pewne duchowe uniwersalia, którymi chce się dzielić ze wszystkimi, oraz odkryło antyhegemoniczny partykularyzm, którego pragnie dla siebie samego. Starszyzna skarży się, że zbyt wielu Amerykanów chce przywłaszczyć sobie lub utowarować jedną połowę (ceremonialne sauny, taniec słońca itd.), kompletnie pomijając drugą (szacunek dla Natury, traktowanie miejsca zamieszkania jako topokosmosu itp.). Pomimo słusznego gniewu i goryczy plemion, rdzenna tradycja nie jest „zamknięta” — domaga się raczej wzajemności aniżeli zawłaszczania. My, Europejczycy, powinniśmy najpierw przybrać prawdziwie rewolucyjną postawę poprzez odzyskanie dzik(s) ości; wówczas będziemy mogli powtórzyć subtelny gest Aleksandra „czczącego lokalne bóstwa”.

„Myśl globalnie, działaj lokalnie” — nadużywany slogan sytuacjonistów odzwierciedla tę właśnie strategię. Nasze prawdziwe interesy obejmują kwestie globalne, jak na przykład „środowisko”, jednak żadna globalna siła nie będzie skuteczna bez przybrania opresywnej formy. Rozwiązania narzucane z góry reprodukuja hierarchię i alienację. Wyłączenie lokalne działanie na rzecz „empirycznej wolności” może dokonać zmiany na poziomie „doświadczanego życia” geiz narzucania kontroli. Niuejdżowy Nietzsche nazwałby to może „wolą samoumocnienia” (*the will to self-empowerment*).

Poeta Nathaniel Mackay używa określenia *cross-kulturowość*. Obraz ten wyraża niehierarchiczną, zdecentralizowaną sieć pojedynczych, ale nie wyalienowanych względem siebie kultur. W sieci tej odbywa się wymiana na zasadach wzajemności, a dokonuje się ona przez przepuszczalne granice kompleksu autonomicznych, lecz swobodnie zdefiniowanych różnic. Dorzuciłbym jeszcze dalsze udoskonalenia. Owa wzajemność stworzy coś więcej niż zwykłą sumę wymian wewnątrz systemu. Nadwyżka stanie się uniwersalną wartością, cyrkulującą pośród wolnych zbiorowości i jednostek. Tak więc **cross-kulturowa**

synergetyka (*cross-cultural synergetics*) to być może termin (slogan) zdolny zastąpić kiedyś „wielokulturowość”.

Paradygmat wielokulturowości opiera się na założeniu fałszywej totalności będącej jakoby sumą fałszywych partykularności. Różnice te są przedstawione i sprzedawane jako „wybór stylu życia” lub „etniczność”, jako towary mające za zadanie zaspokoić autentyczne pragnienie autentycznej różnicy ze „śladami” i obrazami „godności” czy nawet „buntu”. Cross-kulturowy synergizm przeciwstawia temu paradygmatowi faktyczną autonomię, zarówno dla jednostek, jak i dla zbioru jednostek, która opiera się na radykalnej świadomości i organicznej tożsamości. W tym ujęciu tylko cross-kulturowość jest w stanie przeciwstawić się „wielokulturowości”, a uczyni to bądź poprzez strategię subwersji, bądź poprzez otwarty atak. W każdym jednak wypadku „wielokulturowość” musi zostać zniszczona.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Peter Lamborn Wilson
Przeciwko wielokulturowości

Przełożyła Iwona Bojadżijewa

pl.anarchistlibraries.net